Lwów, 21. Stycznia. №9. Rok 1854.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna **6** Złr. — półroczna **3** Złr. — kwartalna **1** Złr. **30** kr. — miesięczna **30** kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie **8** Złr. półrocznie **4** Złr.— kwartalnie **2** Złr. m. k.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza za jednorazowe umieszczenie po **3** kr., za następne po 1½ kr. i za dopłatą 10 kr. stęplowego.

Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha* przy placu dykasteryalnym pod l. 41.

DWAJ BLIŹNIĘTA.

II.

Dwadzieścia lat później.

(Ciąg dalszy.)

Za nim się Mykita otrzepie z deszczu, i inną narzuci na siebie gunię, uprzedźmy go, i wejdźmy do tej wielkiej sali, której od lat dwudziestu niewidzieliśmy. Nic się w niej nie zmieniło od tego czasu, te same stoły i stołki, obrazy i kanapki, wszystkie sprzęty stoją na jednem niezmiennem miejscu swojem, może je tylko czas ciemniejszym wypoliterował pokostem. I by złudzenie większe jeszcze było, stary rotmistrz Góra, w kontuszu i żupanie i pasie, starannie ubrany, z nahajką za pasem, chodzi po obu stronach środkowego stołu tam i nazad, od drzwi do okien; jakoż wydeptał już dwie ścieżki środkiem sali w dębowej podłodze. I na twarzy nie wiele znajdziemy odmiany. Chudszy jeszcze, więcej wyschnięty i żółciejszy, ze skórą gdyby stary pargamin do kości przylepioną, podobny był do mumii; a zmarszczki, pościągane w niezliczone mnóstwo fałdzików, podobne były do arabeskowych rysunków na twarzy Indianina. Włosy poszpakowaciały, jeden tylko szmat włosów jak śnieg był biały; był to ów szmat nad lewem uchem, nad uchem co pierwsze usłyszało jęk rodziców okropnie męczonych. Oczy starca najwięcej były zmienione; był zawsze w nich wyraz i uporu, i zawziętości, i woli nieugiętej, ale wszystkie te wyrazy mieszały się i mieniały bezładnie. Żebym się tak wyraził, znikł z nich wyraz tej rozumnej pojętności, która nadawała ład pewien tym odbiciom jego namiętnego usposobienia. Miasto niej występowało widomie z tego źwierciadła duszy, obłąkanie. Jeżeli dawniej był mało mówiący, i dziś nie grzeszył wielomówstwem; czasem tylko, czy jakie słowo wymówione, czy przedmiot jaki, gdy w nim rozbudził gasnącą siłę myślenia, wymrukiwał sam do siebie jakieś na pozór bezsensowne słowa, które przecie razem łączyły się w obrazy pamiątek przeszłych. I ta była właśnie różnica tych dwóch obłąkań; Warwary i rotmistrza. Podczas gdy Warwara wytężała swój umysł ku przyszłości aż do siły proroczej, rotmistrz przewracał zbiory swych pamiątek, mieniając jedne z drugiemi, jakby różne monety w szkatułce złożone. Jest to zdaniem mojem różnica mająca swą psychalogiczną prawdę, nie jednym przykładem stwierdzoną. Jest to różnica pochodząca i z różnicy wykształcenia, i z różnicy społecznego położenia. Wieśniak niema wychowania, któreby mu uzbierało skarbiec wiadomości i pamiątek; wieśniak niema po prawdzie przeszłości, bo ją przebył w trudach i znoju, ale wieśniak ma za to wiarę, zabobonną zapewne, ale wiarę w przyszłość, od której oczekuje wynagrodzenia, pociechy, rozkoszy i spokoju. To też wieśniak, gdy mu się pomącą jego siły umysłowe, staje się skłonnym do proroczych przewidzeń. Człowiek wykształceńszy i do wyższej klassy społeczeństwa należący, ma wiadomości poukładane w głowie, ma pamiątki życia wygodnego i przyjemnego, i albo bardzo mało, albo żadnej wiary w przyszłość. Cóż więc dziwnego że obłąkanie u niego, staje się najczęściej pomieszaniem wszystkich zasobów głowy, które dobywane i zrywane rozmaicie, tworzą jakieś dziwolągi, w których jest prawda rzeczy, a fałsz kształtu.

Tym razem coś musiało umysł starego rozruszać, bo oczy jego żywiej biegały, i od czasu do czasu pomrukiwał słowa lub całe periody szczególne, bez wszelkiego na pozór związku.

— Za szyję! za szyję !.. mówił do siebie. Maj... a gdzię moja nahajka? Fedory.. ćwiertować!. nogi łamać..nozdrza wyciągać!

W kącie koło komina, oparty o ścianę siedział pan Piotr. Chociaż to było w czerwcu, ale nasza burza oziębiła powietrze tak dalece, iż pan Piotr kazał zapalić na kominie. Siedział na poły zamyślony, czyli raczej zakłopotany, na poły niecierpliwy. Chociaż już rzuciliśmy rzut oka na jego wychowanie i wynikłe ztąd usposobienie, dodamy tu jeszcze, że pan Piotr był istnym synem swego ojca i matki. Miał i upór, i zawziętość, i nieugiętą wolę po ojcu, po którym nawet odziedziczył zamiłowanie w rzeczach ojczystych. Po matce zaś dostała mu się w spuściźnie jej słabość charakteru. Uparty i słaby był zarazem. Nie jest to aforyzm, jakim się może wydać na pierwszy pomysł. Charakterów takich pełno na świecie, i nawet nieraz słabość charakteru jest konieczną przyczyną uporu. Słabość swoją, przez którą taki człowiek dał się czy okolicznościom czy radzie obcej pociągnąć na drogę fałszywą lub szkodliwą, sztukuje się potem uporem, który jest niczem innem, jeno potajemnym wstydem, z własnej słabości wynikłym, a zarazem koniecznością w człowieku, nieumiejącym i nielubiącym nowe i stanowcze przedsiębierać drogi. To też pan Piotr, który się nieraz upierał na najdrobniejszem głupstwie, ulegał naprzykład, w daleko ważniejszych rzeczach wpływom obcym. Najwięcej na nim

wpływu miał nasz Mykita, i z tego to zapewnie powodu, nie uważał on niepodobieństwem, by się pan Piotr z Olenką ożenił.

W tej chwili wszedł Mykita. Pan Piotr, który rzeczywiście był zniecierpliwiony, a nawet do czego się nie chciał przyznać, niespokojny, zerwał się z miejsca swego, i zaczął wrzeszczeć i krzyczeć i łajać tem głośniej, im mniej był na prawdę rozgniewany, bo przeciwnie w gruncie serca był szczęśliwy z powrotu Mykity.

— Kroć stotysięcy!... powrzaskiwał, kiedy na jedną noc pozwalam, to nie trzeba gdzieś tam uganiać dwie doby. Ja tego nie chcę, nie lubię, nie pozwalam... Czy rozumiesz?...

Mykita zbliżył się do komina, bo czuł potrzebę ciepła, ale nic nie odpowiedział. To była jego taktyka, taktyka najlepsza, bo na takie słomiane ognie, jakim bywał gniew pana Piotra, najlepiej nie dorzucać odpowiedzią nowych dla ognia żywiołów. Była to taktyka dla nieugiętego górala częstokroć przykra, ale przykrości tej nie zdradził on nigdy słowem, chyba tylko większem zmarszczeniem brwi.

— Położyć! sto bizunów!.. Psy przeklęte... za ojca i matkę!.. mruczał stary rotmistrz uderzając ręką po nahajce.

Mykita rzucił nań tylko wzrok jeden przelotny, pełen zjadliwej nienawiści, ale milczał dalej.

Pan Piotr wyhuczawszy się, usiadł znowu, i zaczynał już żałować swojego gniewnego wybryku, z którego jak zły woźnica nie umiał wykręcić na miejscu. Spojrzał więc z pod oka na Mykitę, i mimo swej niewielkiej pojętności, postrzegł widoczną zmianę w jego twarzy.

— Cóż to u diabła; słaby jesteś, czy co... drżysz jakby w febrze.

— Zmęczyłem się biegnąc co prędzej, a deszcz zimny może mnie nadto ochłodził, odpowiedział Mykita.

— No! to siadaj tu koło komina! tu bliżej! i zagrzej się! — Słowa te wymówił pan Piotr z pewnym rodzajem uczucia, które trafiły nawet do zawziętego góralskiego serca. I obydwa spojrzeli po sobie z pewną wzajemną życzliwością. Tu będzie miejsce powiedzieć, że ich stosunek uczuciowy dziwnego był nabożeństwa. Mykita był niezawodnie przywiązany do pana Piotra, a zarazem nienawidził go. Sprzeczność ta pochodziła zda się z tego, że poczęści w góralu było dwie osób; góral zawzięty i pamiętający na swe rodzinne krzywdy i człowiek wychowany i hodowany razem z panem Piotrem, z którym dzieckiem przewracał się, chłopakiem po wszystkich drapał się drzewach, młodzieńcem jeździł, hulał i polował razem; poczęści zaś z tego, że góral lubił panicza do którego się od dzieciństwa przyzwyczaił, a nienawidził pana Piotra Górę, syna pana rotmistrza Góry, który pierwszy wniósł nieszczęście do rodzinnej Mykity chaty. Lecz i pan Piotr mniej więcej, również lubił i nienawidził Mykity. Jakkolwiek w jego położeniu wydaje się to trudniejszem do wytłumaczenia, było to wszakże zupełnie naturalne. Lubił on towarzysza swych lat dziecinnych, chłopięcych i młodzieńczych, do którego się przyzwyczaił, lubił jego uległość pozorną, gotowość do wypełnienia rozmaitych jego widzimisiów, lubił w nim sprytne, a zatem pożyteczne dla siebie narzędzie. Lecz z drugiej strony pan Piotr niedarmo był synem swego ojca, od którego pokąd jeszcze stary był przy zmysłach, nieraz słyszał i owe okropne zdarzenie na Ukrainie, i ojcowskie zdania o wszystkich mudiach w ogólności; był się nawet z dziecka przyzwyczaił do srogości ojcowskiej, od czego go dopiero odzwyczaiły własna słabość i miłość do Małanki. Jako więc syn swego ojca, nienawidził Mykitę jako należącego do tej klassy o której tyle mu ojciec złego nagadał. Lecz była to raczej nienawiść zbiorowa, niżeli osobista; a przecież czuł on nieraz, że Mykitę nienawidzi dla niego samego. Był ci to instynkt jaki, albo może raczej nieprzyjemne zawsze uznanie cudzej nad sobą wyższości. W głębi duszy widział się pan Piotr choć dziedzic Kryweńki, niższym od poddanego, od chłopa, od sługi własnego. Czyliż niedosyć powodu by go nienawidzić?

Mykita nie dał się długo prosić. Siadł sobie na ziemi koło komina, opierając głowę na kolanach, bez uwagi na bytność pana.

— Otóż to zawsze tak bywa! — krzyknął pan Piotr. Kiedy się kto gdzieś włóczy dzień i noc, musi potem chorować.

— Ja się nigdy darmo nie włóczę! — odpowiedział Mykita, który dobrze wiedział, że teraz na niego przyszła kolej burczenia.

— Gdzieżeś był przez dwie nocy i dzień cały.

— Gdzie byłem? het tam wysoko od strony czarnej góry.

— A ciebież tam djabeł po co nosił?

— Chciałem się sam przekonać prawdy o czarnym Iwanie.

— Co ty mówisz? — zakrzyknął pan Piotr i zerwał się znowu. A ja to głównie z przyczyny tego opryszka niecierpliwiłem się i czekałem na ciebie aż do tej pory.

Z przyczyny czarnego Iwana! — odpowiedział Mykita wnikając w panicza wzrok ciekawy, i wydąwszy nozdrza jak by zwierz wietrzący smaczną strawę.

— Jak bramy zamykali już późno w nocy, wystaw sobie, że znaleziono pod bramą żyda zaduszonego, z przypiętą karteczką do kaftana.

— Powieszonego! — poprawił Mykita z uśmiechem.

— Ćwiertowanego, w smak upieczonego! — mruczał stary.

— I ten łotr pisze do mnie... że odsyła naszego szpiega nazad, i że zapewnia, że każdemu z nas, który do niego się zbliży, podobny stryczek ma na usługi.

— Przeklęte opryszki!

— Hajdamaki! — poprawił stary.

— Jak ten list przeczytali, moi urzędnicy w nogi, pod pozorem, że nie mają sił dostatecznych. Ale cóż ja mam robić z tem ścierwem?

— Dla kruków! dla kruków! — ozwał się stary.

— Cóż pan każe z nim zrobić?

— Ja bym myślał!... Ale poprawdzie nic nie myślał pan Piotr.

— Żeby go odwieść do cyrkułu: niech sobie z nim robią co się im podoba.

— Otóż właśnie to myślałem... ale ty wiesz że ja sam nie lubię jeździć do cyrkułu.

— Ja go sam zawiozę....

— Ale raniuteńko... tak! tak! mój Mykito! Ale powiedzże mi po coś tam chodził w góry szukać czarnego Iwana... i czy wiesz gdzie on jest?

— Wiem wszystko!...

— Zuch z ciebie Mykito! — A wiesz ty, że jest nadgroda dla tego kto żywcem lub trupem przystawi go, bo to łotr ma być nie głupi, i codzień niebezpieczniejszy, bo codzień ma więcej pod sobą rabusiów. Żeby to go można uchwycić jakim sposobem!

— Uchwycić... albo zabić!

— Nie! nie! — żywcem uchwycić, żeby wisiał.

Przez krótką chwilę łysnął Mykita wzrokiem zawziętej nienawiści na pana Piotra.

— Żeby się to nam udało! — ciągnął dalej pan Piotr.

— Zapewne! ale to nie tak łatwo! — odrzekł Mykita i widocznie się zamyślił.

— Pieniądze, a nadgroda znaczna jest, byłaby dla ciebie Mykito, i ot miałbyś zaraz na nowe gospodarstwo jak się ożenisz z Małanką. Mykita wstrząsł się cały, ale zdusił w sobie to okropne uczucie jakie go na te słowa przejęło.

— Pieniędzy takich nie chcę, ale, kto wie....

— Wiesz jaki sposób!

Nastała chwila milczenia. Mykita patrzył w ogień, a pan Piotr patrzył ciekawie jak w tęczę w twarz Mykity.

— Czarny Iwan jest mój! — zawołał wreszcie Mykita.

— A kiedy?

— Mniejsza o to kiedy, ale jest on mój, a co Mykita powie, to i zrobi. Czarny Iwan jest mój! — powtórzył z dzikim wyrazem szatańskiej nienawiści.

— Opryszki! opryszki idą! — wrzasnął stary rotmistrz głosem donośniejszym jak zwykle, i wskazywał kościstym palcem w okno.

Głośniejsze ozwanie się starego zwróciło mimowolnie uwagę mówiących. Spojrzeli ku niemu, spojrzeli ku oknu, i zerwali się oba równemi nogami. Okno czerwieniło się łuną jakiegoś pożaru.

I tej chwili wybiegli oba młodzi na podwórze, a stary zaczął chodzić dalej obojętnie po pokoju. Na ciemnem jeszcze w tej stronie tle nieba świeciła czerwona łuna, centkowana czasem iskrami wylatującemi z palącego się przedmiotu. Paliło się coś widocznie, chociaż pożar był dość daleki. Po chwili namysłu i zastanowienia się zawołał Mykita:

— To w Zahorcach pali się dwór państwa Minieckich.

— Masz racyą! Hej, koni podać! wsiadajcie wszyscy! prędzej do kroćstotysięcy! Mykita! daj mi mego bułanką, a ty weź siwosza. Prędzej, trzeba jechać na ratunek. To przecie u djabła rzecz sąsiedzka!

Ozwała się w panu Piotrze mimo wielu wad, poczciwa natura polska, natura prawdziwie szlachecka, co mimowolnie ciągnie ku potrzebującemu pomocy obcej. Bo tak to u nas bywało. Pokłócim się i wybijem; ale niechajno brat szlachcic znajdzie się w potrzebie, chociażby to był wróg wczorajszy, i może właśnie dla tego że wróg, wnet się dla niego otworzy i dłoń bratnia, i bratnie serce.

W kilka minut już wszystko było gotowe i pan Piotr na czele kilkunastu koni poczwałował na skręcenie karku do Zahorzec, o dobrą milę od niego odległych. Pospiech jego tem był szlachetniejszy, że mimo dosyć bliskiego sąsiedztwa, oba dwory nigdy bardzo z sobą nie harmonijowały. Za zdrowych nawet zmysłów pana rotmistrza były jakieś graniczne nieporozumienia, które stary pan Góra chciał *brevi manu* ukończyć za pomocą zajazdu. Stary Miniecki, który wówczas żył jeszcze, wyjechał sam jeden naprzeciw zajeżdżającej zgrai, i tak umiał zaimponować zimną swoją stałością, że rotmistrz wrócił z kwitkiem, czego nigdy nie mógł strawić.

Podczas gdy szalonym pędem nasz pan Piotr poleciał, i przez góry, parowy sadzi na bałanku, stary rotmistrz chodził dalej po sali, z rodzajem wesołego uśmiechu na twarzy. On się cieszył czerwonością łuny, i ciągle pomrukiwał:

— Palą już ich, smażą w słomie! tylko lepiej... ojciec i matka! (D. c. n.)

Chorąży.

Powieść.

Cichy, posępny dworzec starosty;
Na murach wiszą z ziela opony,
Po wałach głogi i dzikie osty,
A szczyt wieżycy mchem umajony
Wzniósł się nad braci niby dąb stary,
Któremu mrok już osiadł konary,
I gdy się z wiatrem na młodszych dąsa
Tylko zielenią głowy potrząsa.
W komnatach smutno — szarzeją ściany,
Nad drzwiami wisi miecz zadrzewiany;
Na mieczu plamy, niby krew ciepła,
Tylko że krew ta już dawno skrzepła;
A szyszak niegdyś sławą wieńczony
Już nie rozsiewa skier opylony;

A kiedy wiatr się w komnatę wkradnie,
To strusiem piórem poszepcze zdradnie,
Niby mu dawną wspomina sławę,
I jego błyski i harce krwawe.

Pan dworcu życie samotne wiedzie,
Dawna w tym dworcu uczta przebrzmiała,
Rzadko bywają bracia sąsiedzie;
Odkąd małżonkę śmierć mu zabrała
Sam nie wyjeżdża — braci nieprosi,
Starzec samotność nad gwar przenosi.
Czasami tylko pielgrzym w te ściany
Krok swój przywlecze drogą zmachany;
I w tedy brama żelazna skrzypnie,
A starzec rad mu darami sypnie,
I rad pogada, i poczęstuje,
Na dłużej prosi, i przenocuje.

Lecz śród tej murów ponurej smętni,
Serce tam komuś weselej tętni;
Jest ktoś co czasem piosnkę zadzwoni,
Czasem wesołą myślą pogoni,
Lub się uśmiechnie jak róży pączek
Co brzask wychyla z ciasnych obrączek;
Jest tam dziewica z licem anioła:
Marya, ojca jedyne dziecię
Co mu samotne umila życie,
Uśmiech z pod wąsów czasem wywoła,
Gdy zaszczebiocze, piosnkę zanuci,
Albo się ojcu na szyję rzuci.

Marya ledwie w szesnastej wiośnie
Pod okiem ojca jak róża rośnie,
Nieznając czułej matki pieszczoty
Pędzi samotna wiek życia złoty.
Na pięknem licu tęsknota cicha,
Co się uroczą chmurką rozlała,
Mówi że serce zaczemeś wzdycha
Czego dziewica pierwej nie znała.
Wtedy uczuciem skrytem wiedziona
Klęka w kaplicy u grobu matki,
I grób jej stroi w najświeższe kwiatki.
Rzewną modlitwą cała natchniona,
Pobiegła smutna, wraca weselsza,
I do starosty w pieszczotach śmielsza,
Znów w ogród biegnie i kwiaty zrywa,
Albo piosenkę wesołą śpiewa.

Marya innych uczuć nie znała
Oprócz miłości dla ojca swego,
I innych pieszczót, prócz pieszczót jego;—
Lecz Marya także kwiatki kochała:
Często gdy ojciec usnął znużony
Szła w ulubione ogrodu strony
Pomiędzy lilie, modre bławatki,
Wonne jaśminy, i skromne bratki.
Marya zawsze biegała rankiem
Z kryniczną wodą nalanym dzbankiem,
I polewała spragnione kwiecie;
Tak się bawiła — dziewica — dziecię.

Błogie w ogródku spędzała chwile,
I błogo młoda dusza marzyła;
Między kwiatami tak dumać mile!
Często dziewica zaczemś tęskniła,
Lecz zaczem? — tego sama nie zgadnie.
Często się czucie do serca wkradnie
Dotąd nieznane myślom dziewicy;
A w tedy iskra spłonie w źrenicy,
Krew zarumieni piękną jagodę
I mocniej bije serduszko młode:
Dziewczę do łona przyciska kwiaty,
Pomiędzy włosy wtyka jaśminy,
Do ust przytula krasne bławaty,
Nie wiedząc sama z jakiej przyczyny;
I gdy śród kwiecia serce wynurza
Między różami stoi jak roża.

I nieraz wonią róż upojona
Między kwiatami uśnie znużona,
I śni — o kwiatach? — i o czemś więcej
Pomarzył we śnie już duch dziewczęcy.
A gdy się zbudzi, — sen ją uderzy,
Śmieje się, wzdycha, — w sen swój nie wierzy;
Lecz serce w łonie tęskno zapuka,
A myśl znów wątka swych marzeń szuka.

Bawi się, duma, a czas upływa,
Tęsknoty z czasem coraz przybywa,
Ogródek coraz milszym się staje,
Lecz jego krasie wciąż coś nie staje;
A choć tak luby a tak uroczy,
Nie sam kwiat widzieć pragną te oczy.

Pół drogi przeszło jaskrawe słońce
Złocąc odblaskiem lasowe końce;
Wietrzyk co lekko niwą powiewał,
Dokoła miły chłodek rozlewał,
A niebo czyste ni jednej chmurki;
Krasą jaśniały wyniosłe wzgórki
Co poza dworem pasmo tworzyły,
I od północnych wiatrów go kryły.
A w dworcu było cicho jak w grobie.
Starzec w komnacie w zwykłym sposobie
Na poobiedną spoczynku chwilę
Nad Tacytusem czas spędzał mile;
Lubiał go czytać i zawsze mawiał,
Że się najlepiej przy nim zabawiał.
A Marya! — Marya między kwiatami
Znów serce bawi złotemi snami.
Choć niby sama — w myśli nie sama!
W tem, że gość przybył, dał znak odźwierny,
I wnet skrzypnęła z wrzeciądzach brama,
A dziarski młodzian w dworzec obszerny
Wjechał na koniu przez most zwodzony,
A znać z niebliskiej przyjechał strony,
Bo siwy rumak zbiegany mocno,
Może i drogę przebywał nocną.

Był to chorąży z pułku huzarzy,
Młody, zaledwie wąsik na twarzy
Zasiał się lekko, lico urodne,
Rumiane, męzkie; czoło pogodne
Wzniosło się hardo ponad brew ciemną,
W ruchu miał jakąś hardość przyjemną.

Wszedł, i staroście skłonił się grzecznie,
Starzec mu rękę ścisnął serdecznie,
Po staropolsku szczerze powitał;
O zdrowie, mienie rodziny pytał

Bo go znał dzieckiem, a z ojcem jego
To się kochali jako brat z bratem;
Rad był starosta z młodziana zatem.
Bo w nim miał obraz druha dawnego,
Z którym pół życia na sejmach, w bojach
Przeżył w kontuszu, lub jasnych zbrojach,
I przy ogniskach nocnych, obozem,
Często na wozie — czasem pod wozem.

(C. d. n.)

Deotyma.

(Ciąg dalszy.)

Improwizacye Deotymy sprawiły dzisiaj u światłej publiczności powszechne zadziwienie. I bardzo słusznie. U nas pod wpływem północy, możemy do cudów prawie liczyć to, co gdzieindziej mniejszego nabywa uroku, bo jest pospolitszym, jako wypływ przyjaźniejszych stosunków nieba i społeczności.

Nie uwłaczamy tem bynajmniej talentowi ubóstwionej Deotymy. I owszem, zadaniem naszem będzie pociągnąć linią porównawczą pomiędzy podobnemi zjawiskami południa a tem dziwem północy. Zdaje nam się, że to tylko na korzyść naszej improwizatorki wypadnie, jeżli zwrócimy naszą uwagę na to, co ona mimowolnie między spory splot swoich kwiatów wetknęła, a co mimo jej wiedzy ukryło się między szeroko rozłożonem liściem, każdym improwizacyom właściwej rozwlekłości u obrazowaniu i rozumowaniu.

Pod niebem południowem, w klassycznym kraju wielkich wspomnień i uczuć gorących, stała się poezya płodem rodzimym. Historya, teologia, serce, stosunki społeczne mają swoich mniej więcej szczęśliwych poetów, ukształconych na wzorach Dantego, Petrarki, Boccacia itd. Studya tych geniuszów są nader upowszechnione, a z miernemi zdolnościami poeta, często syn natury, wyuczywszy się na pamięć parę tomów „Orlando furioso” lub „Gerusalemma liberata,” na podstawie przyswojonych sobie form i zwrotów obrazowania, tworzy często dziwnie piękne improwizacye. — Na czem w podobnych improwizacyach najwięcej utknąć można, to na kantach formy, przy każdym zwrocie, przy każdem nawiązaniu wynikającej myśli lub konsekwencyi uczucia. To dominowanie formy nad treścią jest cechą każdej improwizacyi, a przytem nieuchronną przeszkodą głębszego wrażenia; — jest to skrzyp klawiszów przy cudnej grze artysty, są to pozaiczne sznury, unoszące poetyczne postacie śród źle urządzonej scenery, niezgrabnie wyglądający blejtram, który, odcinając nam perspektywę sinych alpów przecudnego krajobrazu, narzuca nam śród zachwycenia myśl zabijającą, że mamy przed sobą — płótno malowane! —

Taki jest los każdego utworu, który, aczkolwiek odziawszy się formą przyzwoitą i doskonałą, nie ma w sobie namaszczenia prawdziwego zapału i gorąca natchnienia. Improwizator włoski zadziwia — lecz nie wzrusza. Uczucie podziwu jest stagnacyą życia — chwilową śmiercią; poruszenie serca — życiem. Był naród, który cały swój rozwój dziejowy poświęcił temu uczuciu; stawiał piramidy i olbrzymie świątynie, aby go w nich podziwiano, i dostąpił smutnej sławy, że dzisiaj podziwiamy — jego mumią.

Szczytniejsze zdanie jest prawdziwego geniuszu. Nie tylko powinien on olśnić swoim blaskim, ale rozegrzać, przeciągnąć i unieść w krainę wyższej doskonałości. Jeźli kiedy, to w poezyi krzystalizuje się forma w martwą bryłę, gdy ją odleci światło pierwszej chwili, gdy straci woń świeżości. —

Dla tego to improwizatorowie improwizują, ale nie drukują swoich płodów, a sława ich kończy się na kółku słuchaczy. Każmy tylko improwizatorowi powtórzyć improwizacyą, a już będzie nam blada, bezbarwna, a może i niedorzeczna. Obok takich improwizacyj mamy poezye pisane, którym to samo zarzucićby można. Wytrawionym nawet znawcom dyalektycznych formułek i zwrotów przypadnie czasem do gustu poezya, której kilka nawet stronic przyjemnie odczytać można; lecz gdy czytelnik nagle spocznie, i z przeczytanych wierszy jakiś obraz lub pojęcie w pamięć przywołać zapragnie, wyzna ze smutkiem, że nic nie wie, co przeczytał. Vox, vox praeterea nihil — z tąd niemieccy estetycy takich poetów nazwali nihilistami. Są to najczęściej ogniki fantastyczne, iskry rozsypane na tle ciemnem, mistycznem, z których czytającego wyobraźnia dowolne sobie tworzy postacie i obrazy. Są to wyobrażenia, nakreślone w półświetle, w półcieniu, które czytelnika wprawiają w stan pół-senny, omroczy, jak po zażyciu opium, poczem wprawdzie czujemy jakąś błogość niewysłowioną, ale z uczucia tego nieumiemy sobie zdać sprawy. Taki nihilizm owładnął poniekąd cząstkę naszej także literatury i to w wieku, w którym okazała się niezbędna potrzeba jasnego określenia wyobrażeń, myśli i celów. Kontury namazane węglem dzisiaj niezadowalnią; potrzeba farb zdecydowanych, idei przewodniczącej, a nadewszystko totalnego wrażenia. Odnogą nihilizmu jest mystycyzm, i w tem tylko zachodzi różnica, że pierwszy do czczości swojej się przyznaje, drugi zaś przygaszonym kolorytem, i ciemną osłoną pokostu nagość swą ukryć usiłuje. Prawdziwie wielcy poeci mówili jasno i zrozumiale, dla tego ich naród pojął. Tylko dzieło czystego natchnienia przechodzi w pamięć wieków, popisy zaś w użyciu wyuczonych form ducha i serca, przepadną. Jeszcze wspomnę o jednym rodzaju wyrodzenia się poezyi. Wieki nauk scholastycznych zostawiły nam po sobie puściznę. Są to dziwne wyobrażenia, które koniecznie w poezyi widzieć chcą alegorye. Zamiast iść za przykładem prostodusznego Homera, który opisując najpiękniejszą pod słońcem księżniczkę, mówi tylko, że była piękna — idziemy przez siedm piekieł Dantego, wydzierając

z łona trzech królestw natury, obrazy do niezrozumiałych porównań i najzawikłańszych alegoryj.

Był czas, gdzie szał szukania we wszystkiem alegoryi, ustalił się w system głupoty ludzkiej i samobójstwa moralnego, i utworzył antispołeczne zbory smutnej pamięci Terapeutów. Był czas, gdzie nie mówiono i nie pisano inaczej, jak w szatach alegoryj — a pewien uczony wszechnicy Florenckiej, czytając rozważnie „boską komedyę,“ tyle w niej wynalazł skarbów alegorycznych, że zanim doszedł w uczonych wykładach do mrozów siódmego piekła, prawił z katedry lat dziesięć!...

I Petrarka nie wyrzekł się wyobrażeń scholastycznych. Czemże jest forma sonetu, w którym pierwszy czterowiersz ma zawierać „Thesis,“ drugi „Antithesis,“ a dwa potrójne wiersze „synthesą“ poemat kończą? Nie jestże to gra fantastyczna i zabawka w obrazki uczuciowe?

Przodkowie nasi pisali wprawdzie wiersze rubasznie sklecone, i z mozołą do form przykazanych wykute; lecz pisał to naród, w którego prawicy miecz ciężył, a który ostrzem miecza i siłą ręki przyzwyczajony był do mozolnego naprzód pochodu, który z pracą i wytężeniem łamał i rozrąbywał nie tylko zapory dziejowego swego postępu, ale i swojej mowy, i swoich wyobrażeń. Lecz myśmy przestali łamać się ciałem — a życie duchowe jest wyłączną naszą krainą. W krainie ducha, duch rządzić powinien. Odziany szatą form przyzwoitych, ma okazać ruch i życie, czego sama forma nigdy nie okaże. —

Po tych słowach zawróćmy do Deotymy. Tego, cośmy tu napisali, nie chcemy wprost do niej stosować, bo wychodząc z ogólnego jej poezyj stanowiska, musimy podziwiać jej talent nadzwyczajny. Co ona dotąd improwizowała i napisała, stawia ją już zbyt wysoko, aby ją mogło dosięgnąć pióro niesprawiedliwej nagany, lub unieść zbytnia pochwała. Myśli jej często świeże i głębokie, obrazowanie trafne i wyrobione spojenie w całość artystyczną. Jestto geniusz pewny siebie, a przeto swobodny w ruchach i zwrotach, śmiały w przenośniach i kolorycie. Mianowicie wiązanie myśli i obrazów znamionuje mistrza, władającego materyałem i narzędziem, dumnego, jeźli zdziwionym okaże z pod swej ręki umniczej wzrastające pierwotwory bóstwa. — Lecz wyznajemy, że nie na to wzięliśmy pióro do ręki, aby do pochwał i uniesień, jakiemi napełnione są wszystkie pisma, dorzucić i nasze uwielbienie. Byłaby to kropla do morza; — ale obok naszego rzetelnego szacunku tego tak rzadkiego talentu, chcemy skromnie wyrazić naszą obawę co do zamierzonego przezeń kierunku, a tym sposobem pozbawienia nas najdroższych naszych nadziei. (C. d. n.)

Drugi koncert p. Mikulego.

Już po pierwszym koncercie pana Karola Mikulego powiedzieliśmy że gra jego odszczególnia się obok zadziwiającej szybkości, niedorównaną śpiewnością w najlekszych harmonijnych odcieniach. Zdanie to wzmocnił p. Mikuli w drugim koncercie, który odbył się na dniu 18. b. m. w Lwowskiej sali ratuszowej. Najpierw odegrał pan M. Larghetto i Rondo z drugiego koncertu Fr. Chopina z towarzyszeniem podwójnego kwartetu.

Larghetto odznaczyło się przeciągłością i rzewnością tonów na kształt zawodzenia, prostym, sławiańskim właściwego pieśniom, na której to barwie Chopin oparł prawie wszystkie utwory swoje. Po krótkim melodyjnym temacie i perełkowych tegoż przystrojeniach, przeszedł autor w rodzaj Recitativa, coraz silniej stopniując niem uczucie pierwotnej myśli, aż w posępnych dysonancyjnych tonach jakby w zadumie wrócił znowu do pierwotnej prostej melodyi. P. Mikuli pojął myśl autora i prawdziwie że tak powiem odśpiewał i oddeklamował nam ją z całą znajomością tak poezyjnej jak i technicznej strony.

Po Larghetto nastąpiło Rondo. Gdy koncert miał grać sam kompozytor w Paryżu, dobrawszy sobie do akompaniamentu podwójny kwartet, czynił próby bardzo liczne, a na końcu uznał iż akompaniament mu nie odpowiada. Chopin wprowadził do wyższej muzyki tempo rubato, tę cechę narodową naszych tańców. O tę trudność rozbijały się wszelkie usiłowania kwartetowych. Trudno im było pochwycić tę własność i trudniej jeszcze w przerzucaniu tego tempa rubata pójść za fantazyą Chopina. Byliśmy więc ciekawi jak muzycy tutejsi odpowiedzą temu zadaniu. Doskonałości trudno się było spodziewać. Nad oczekiwanie więc nasze wypadło Larghetto a osobliwie Rondo, bo wtórujący dosyć wdrożeni byli w narodowy rytm tempa rubata. Rondo, to czysta poezya narodowa. Choć takt mazurka i krakowiaka zachowany ściśle, ale nikt o tańcu nie pomyślił; uniesieni fantazyą słuchaliśmy jedynie poematu. I w tem właśnie był tryumf koncercisty. Ten spokój głęboki, gdzie śród piano i pianissimo przychodzi przełamać największe trudności, tak, aby przełamywania tych trudności ani domyślać się nie można było, aby piana spokojnego nie zmącić, kogożby bowiem nie zachwyciło? A osobliwie przy zakończeniu nadzwyczajna precyzya w tercowych, chromatycznych pasażach godna podziwienia!

W Polonesie dał nam P. M. rękojmię, iż nietylko w grze ale i w kompozycyach idzie w ślady mistrza swojego. Melodya oryginalna, rzewna i pełna głębokiego uczucia, rytm śmiały, w większych pociągniony rozmiarach, zachowuje jednak charakter i typ narodowy, szczególniej przez owo przelewanie się tempa polonesowego w zwroty niespodziane, oryginalne. O zaletach następnego mazurka już poprzednio mówiliśmy.

Nieznany nam młody śpiewak, który wystąpił z dwoma śpiewkami podobał się powszechnie z pięknego, metalicznego głosu, pełnego świeżości i czystej intonacyi.

W sextecie Liszta z „Lucyi“ najwybitniej wystąpił talent koncercisty. Nie zuchwałą siłą gry imponować chce jak Liszt, lecz wdziękiem, przezroczystością każdej nuty, śpiewnością.

Przywołany kilkukrotnemi oklaskami odegrał Walca Desdur i znane nam z pierwszego koncertu: Nokturnę Asdur, Etudę F moll i mazurka Chopina. Etudę grał wolniej jak poprzednio, każdy ton był przezroczystszy, zrozumialszy, większe więc uczynił wrażenie.

Teatr.

W teatrze lwowskim przedstawiono w roku 1853. sztuki oryginalne: **Reputacya w miasteczku**, komedya w 3. aktach J. Korzeniowskiego. — **Krakus, założyciel miasta Lwowa**, tragedya w 5. aktach Niedzielskiego. — **Despotyczna staro-ścianka**, komedya w 5. aktach podług niemieckiego: der Spekulant und sein Schwiegersohn. — **Filozof z potrzeby**, komedya w 3. aktach Ładnowskiego. — **Klara**, dramat w 1. akcie Józ. Korzeniowskiego. — **Mierność i zbytek**, dramat w 5. aktach

Baltazara Gwozdeckiego. — **Sąd przysięgłych**, dramat w 4. aktach Korzeniowskiego. Tłumaczone a poraz pierwszy w r. 1853 na lwowskiej scenie przedstawione: Żebraczka, dramat z francuskiego P. Masson w 5. aktach. Żona stangreta, komedya we dwóch aktach z francuskiego. Bohatery kom. w 1. akcie z niem. przez P. Marsona. — Powiastki królowej Nawarry, komedya w 5. aktach z franc. pan Scribe i Legouvé. — Ostatnie chwile Kromwella, dramat w 5. aktach z niem. Raupacha. — Biała kamelia, komedya. — Pułkownik z r. 1769 komedyo-opera w 1 akcie z francuz. Piękność i zwierz, komedya w 2 aktach z franc. Bayarda. Lavater sędzią, komed. we 2. aktach z franc. — Kasia z Bełza, dramat przerobiony z niem. Kätchen von Heilbron Kleista. — Anna Worthmann, dramat z niemiec. w 5. aktach Krügera. — Więzienie sieroty Kaspra, dramat w 4. aktach. — Sknera rozrzutnikiem, krotochwila z niem. we 3. aktach Elmara. — Stryjaszek nieprzyjaciel kobiet, komedya we 3. aktach z niem. — Uczta Baltazara, melodramat z franc. w 5. aktach. — Pani Bertrand i panna Raton komedya w 1. akcie z franc. — Sprawiedliwość nieba, dramat w 5. aktach z francuzkiego p. Soulié. — Wychowanki w St. Cyr komedya w 5. aktach z franc Dumasa. — Serce i wzrok, dramat w 5. aktach z niem. Krügera. — Strażnica morska, z niem. Houwalda.

W obu **teatrach warszawskich** przedstawiono w ciągu r. 1853 następujące nowe sztuki; oryginalne: Stoliki magnetyczne, komedya ze śpiewkami Stan. Bogusławskiego. Miłość i pieniądze, komedya Baltazara Gwozdeckiego. List i odpowiedź, obrazek dramatyczny J. S. Jasińskiego. Janek z pod Ojcowa, obrazek wiejski. J. K. Gregorowicza; z tłómaczonych komedye: Fortepian Berty, Helena de la Seigliere, Z małej chmury wielki deszcz, Zizi, Powrót marynarza, Atak kawaleryi, Niebezpieczna ciotunia, Pan Franciszek, Adwokaci, Nieszczęścia najszczęśliwszego męża, Mężatka i wdowa, Podstęp pana Kapitana, Bukiet i pocałowanie. *Opery*: Brawo, Purytanie, Don Bucefalo, Doktor Burgundio, Rigoletto, Fiorina, *Balety*: Żniwiarze, Asmodea czyli djabeł zakochany. Z tych z wielkiem zadowoleniem były przyjęte: komedye oryginalne Stan. Bogusławskiego, Stoliki magnetyczne, i tłómaczona przez panią Bedlińską, komedya, Helena de la Seigliére. Podobały się komedye: Fortepian Berty, tł. przez Józ. Komorowskiego i pan Franciszek, tł. przez pannę Ciemska. *Opera:* Rigoletto i balet, Asmodea, wielkie miały powodzenie.

Rozmaitość.

Odkrycie przejścia na północy. (Ciąg dalszy.)

Zostawiliśmy śmiałego kapitana z jego okrętem w miesiącu październiku 1850-tym roku; na raz przechodzimy w miesiąc kwiecień 1851. Zimna krew tego człowieka i jego ludzi w zadumienie wprawia. Dni i miesiące za nic sobie liczą w tem więzieniu; wydaje się że spali przez sześć miesięcy, żeby nabrać nowych sił do nowych walk; wreszcie przebudzili się. Wprowadzają do kanału wielką szalupę wielorybową, potem drugą, potem trzecią. Porucznicy Hanwell, Cresswell i Wyrniatt dowodzą niemi. Nowy ten rodzaj żeglugi po morzach biegunowych opisuje szczegółowie porucznik Cresswell; oto mały wyjątek:

»Podróż taka wymaga wielkiego zaufania w sobie samym. Nie można tu niczego nigdzie dostać, ani drzewa, ani węgli; wszystko coby było potrzebnem, potrzeba mieć z sobą; urządzaliśmy się zawsze w ten sposób: mieliśmy sanki kierowane przez dziesięciu ludzi, daliśmy im wszelkiego rodzaju zapasy, namioty i wina, zwykle na czternaście dni, to jest: około dwustu funtów na człowieka.

»Wyszedłszy z okrętu, idziemy przez 12 godzin, więcej nocą niż dniem, lepiej bowiem iść w nocy, bo słońce odbija się na śniegu. Po kilkunastu godzinach marszu zapalamy spirytus, topimy śnieg, gotujemy wieczerzę i wypaliwszy fajki, kładziemy się spać.

»Dery kauczukowe służą nam za posłanie; oprócz tego każdy człowiek ma pokrycie w kształcie worka, w który włazi; kładziemy się jeden przy drugim, naprzemian głową i nogami; to też wyglądamy jak śledzie w baryłce; potem nakrywamy się skórą, przyciskamy się do siebie i śpiemy.»

Szalupy te przez miesiąc prawie robiły poszukiwania i powróciły 24 maja, w sam dzień imienin królowej, rozwinęły narodowe kolory, a uroczyste wystrzały z armat, pierwszy raz zapewne odbiły się o tę biegunową ziemię.

Szczegóły ich poszukiwań chciał sprawdzić sam kapitan, wziąwszy z sobą tłumacza, nieocenionego człowieka, jak go sam nazywa, znającego język Eskimów, udał się na ziemię Wollaston. Znalazł tu na nowo Eskimów, którzy mu pokazywali brzegi tego lądu. Opisywali mu jakąś wielką ziemię, leżącą naprzeciw Wollaston, która zapewnie oznaczała Amerykę. Zresztą było to pokolenie łagodne, proste, a język ich podobny był bardzo do tego, jakim mówią na pobrzeżu Labrador.

Z wycieczki tej powziął Mac-Clure to przekonanie, że ziemia księcia Alberta jest częścią lądu amerykańskiego.

Tymczasem czas ulatywał, lody zaczęły mięknąć, majtkowie nie tracili ducha. Odważni ci żeglarze nie przewidywali, że niebezpieczeństwa, które przebyli, nie były niczem w porównaniu tych, które ich oczekiwały. Na początku czerwca lody zaczęły się poruszać, aż wreszcie jednego dnia nagle i spokojnie rozwarły się i okręt spokojnie mógł płynąć po kanale. Okręt mimo to trzymał się przy lodzie i płynął z nim razem przez kilkanaście dni; w końcu lód oderwał się; Investigateur opuszcza swoje dziesięcio-miesięczne łożysko, i jako ptak swe skrzydła, rozwinął długo uwięzione żagle. Wiatr popycha go na północo-wschód ku cieśninie Barrow; przejście prawie już dokonane. Niestety! wiatr ustał, okręt czepia się znów kry, ale przeciwko niemu postępują, jakby do bitwy postawione, massy pływających lodow. Straszliwe te bryły uderzyły z niesłychaną gwałtownością na krę, przy której trzymał się okręt, i rozbiły ją w kawałki. Uderzenie to wydało huk piorunu, a okręt drżał, jakby po wybuchu wulkanu; cudem jednak ocalał. W środku sierpnia był zaledwie o 25 mil drogi od pożądanego celu, ale lody cofnęły go znowu daleko. Żeby się wydobyć z tego oblężenia, kapitan postanowił rozsadzić tę twierdzę lodową; 36 funtów prochu rozbija na wszystkie strony tę zaporę. Zdawało się że okręt już wolny, ale nazajutrz rano nowe massy lodu nagromadziły się i zatarasowały przejście. Marzenia nadziei zniknęły. Wiatry wiały ciągle od północo-wschodu, a w te strony dążył Mac-Clure; mimo to odważny kapitan darł się ciągle naprzód, opłynął na około ziemię Baringa, trzymając się ciągle brzegu, chociaż nowe groziło mu w tem położeniu niebezpieczeństwo, bo mógł być łatwo rzuconym o ląd przez lody i zgruchotanym jak łupina orzecha. Tu znowu czepiał się kry, ale i to nie było bezpiecznem, bo go raz ogromna massa lodu podniosła razem z krą w kierunku pionowym na trzydzieści stóp wysokości. Tą razą jeszcze ocalał, a rozsadziwszy na nowo prochem zaporę zalegającą mu drogę, postanowił przepędzić tu zimę.

W tym celu wpłynął do kanału, który prowadzi do ciaśniny Barrów. Mrozy schwyciły nagle i okręt literalnie zamarzł w tej odnodze, którą Mac-Clure przezwał odnogą Miłosierdzia; bo cudem prawie ocalał.

Było to dnia 24. września 1851; we dwa lata potem w miesiącu kwietniu 1853, okręt stał w tem samem miejscu, a może jeszcze stoi tam dotąd. Kapitan Mac-Clure w odległości 60 mil (angiel.) widział wyraźnie ziemię Malville. Tutaj się kończy podróż okrętu Investigateur. Stoi on uwięziony na długo, może na całe lata, bo kapitan Mac-Clure oświadczył, jak pamiętamy, że dopłynie tak daleko, jak tylko będzie mógł. (D. n.)

O koronie cesarskiej wspomnieliśmy w siódmym numerze. Doktor Basset co do uprawy podaje ciekawe szczegóły czerpane z 3-letnich doświadczeń. Drobne cebulki tworzące się w około głównej wysadzają się rzędami w miesiącu wrześniu lub październiku, najlepiej w ziemię dobrze uprawną, gliniasto-piaszczystą nie świeżo nawożoną; w kwietniu lub maju wschodzą fioletowe łodygi, otoczone pięknym zielonym liściem, a zakończone koroną pomarańczowych kwiatów i czubem liściastym. Dla wytępienia zielska raz się obredla, a w lipcu już wykopuje, daleko jest jednak lepiej pozostawić takowe jeszcze rok drugi, wtedy się tylko raz w jesieni i raz następnej wiosny obredla, zbiór zaś przy mniejszej pracy jest więcej jak podwójny.

Przy uprawie rocznej 220,000 wysadków na hektarze wydało 220,000 bulw, ważących 19,800 kilogramów, te zaś 4,500 kilogramów mączki, czyli morg 300 prętwy około 263 centnarów bulw, a $60\frac{1}{2}$ centnarów mączki; co wyrównywa przeszło 100 korcom kartofli; prócz tego odjęto wysadki.

Przy uprawie 2-letniej, 220,000 wysadków na hektarze dało 55,000 kilogramów bulw, te zaś mączki 12,500, czyli rocznie 6,325 zamiast 4,500 kilogramów.

Morg więc 300-prętowy wydał około 366 centnarów rocznie w bulwach, czyli 83 centnary w mączce; co odpowiada blizko 150 korcom kartofli.

Ogromny ten wydatek powinien zwrócić naszą uwagę na tę piękną roślinę, która mimo ostrych zim w naszych ogrodach ciągle się utrzymuje, i corocznie niemal pierwsza się w nim zieleni; ponieważ fritillaria daje dosyć nasienia, a w pierwszym roku wysadki, jest nadzieja, że się wkrótce upowszechni, a daj Boże aby nas niezawiodła.

Zmarli: Straty jakie piśmiennictwo polskie przez zgon zasłużonych mężów w roku 1853 poniosło: Konstanty hr. Tyzenhauz; autor dzieła: Ornitologia krajowa, i wielu rozpraw w tym przedmiocie, członek kilku towarzywst uczonych, przykładający się wielce własną pracą i protegowaniem talentów do rozszerzenia nauk. Dominik Krysiński, autor kilku rozpraw historycznych i w przedmiocie ekonomi politycznej. *b.* professor Uniwersytetu. Norbert Alfons Kumelski, autor dzieł poćwięconych naukom przyrodzonym i technologii, oraz wielu artykułów umieszczonych w Encyklopedyi i Magazynie powszechnym. Maksymilian Jakubowicz, b. professor, autor gramatyki polskiej i Łacińskiej. Josephina Osipowska, autorka kilku dziełek poświęconych treści powieściowo-obyczajowej. Karol Milewski, autor dzieł: Opis gór na okręgu ziemskim. Ogólny rys encyklopedyi dla użytku płci żeńskiej, i pamiątek historycznych krajowych, oraz kilku rozpraw drukowanych w pismach peryodycznych. Mikołaj Kostrowiecki, bibliofil i przyjaciel nauk. Jan Rychter, Redaktor Kurjera wileńskiego.

Powieść Józefa Dzierzkowskiego. **„Rodzina w Salonie,“** która najpierw umieszczona była w dzienniku warszawskim, redagowanym przez Henryka hr. Rzewuskiego, wyszła teraz w ozdobnem wydaniu nakładem Wolfa w Petersburgu i już nadesłana została do księgarni tutejszych.

W **Lublinie** bawi teraz towarzystwo **artystów dramatycznych** pod dyrekcyą Królikowskiego. Według sprawozdań umieszczanych w dziennikach warszawskich, ma być w tem towarzystwie kilku aktorów i aktorek, którychby nie powstydziła się i większa scena.

W niedzielę trzeci koncert p. **Mikulego** na dochód ubogich.

Niedawno po skończonym balu wołał z ganku podochocony jegomość na swego furmana — Kasprze! jak zajedziesz to zaprzężesz, tylko uważaj mi błaźnie, żebyś co nie zmajstrował koło *feiletonu* (faeton).

Niema niedorzeczności w co by stolikomani nie uwierzyli. Wczoraj do biura Nowin do księgarni pewien jegomość na *serio* uwierzywszy w kichnięcie stolika, po kilka razy wpadał, dopytując się gdzie to ten stolik kichnął?...

Znaczenie szarady poprzedniej: **Taktyka.**

Szarada.

Pierwsza zwrócona z drugą z gorąca powstaje,
Przez drugą z trzecią miernik kierunek poznaje.
Wszystko najlepsze światła ocenienie daje.

Przyjechali dnia 18. 19. i 20. do Lwowa:

PP. Kalinowski Władysław hr. z Bakowca. Miliński Franciszek wł. dóbr, z Helenkowa. Nahujowski Antoni wł. dóbr, z Czernic. Potocki Stanisław hr. i wł. dóbr, z Raju. Prawecki Marcel rz. dóbr, z z Raju. Schmück Franciszek c. k. prezyd. kraj. z Bukowiny. Skolimowski Julian wł. dóbr, z Dynisk. Urbański Rudolf wł. dóbr, z Dobrosina. Urbański Tadeusz wł. dóbr, z Sanoka.

PP. Ciepielowski Dyonizy c. k. radzca kam., z Tarnopola. Hofmann Jan c. k. starosta, z Kołomyi. Horodyński Onufry gr.-kat. pleban, z Horożany. Kulczycki Wilhelm Erasm dziekan, z Czortkowa. Postępski Franciszek komornik, z Łopatyna.

PP. Czerkawski Aleksander justyc. z Bóbrki. Czerkawski Michał wł. dóbr, z Meryszczowa. Hackmann Eugen gr.-kat. biskup, z Bukowiny. Kopecki Rudolf wł. dóbr, z Domażyra. Małecki Feliks rz. z Wisłobok. Popiel Michał dzw. dóbr, z Jaśnisk.

Wyjechali dnia 18. i 19. stycznia ze Lwowa:

PP. Bobrowski Tytus wł. dóbr, do Sendziszowa. Krzyżanowski Feliks wł. dóbr, do Tarnopola. Kułaczkowski Adam c. k. komornik pogr., do Przemyśla. Lang Emanuel dzw. dóbr, do Wolicy. Łoś August hr. do Werchraty. Romaszkan Antoni wł. dóbr, do Podhajec. Summer c. k. radzca sąd. karz. do Żółkwi. Węgłowski Konstantyn rz. dóbr, do Zameczka.

PP. Ebenberger Feliks rz. dóbr, do Brzeżan. Frank Ferdyn. wł. dóbr, do Nahaczowa. Glixelli Teodor wł. dóbr, do Glinian. Komarnicka Józefa hr. do Złoczowa. Lewicki Józef wł. dóbr, do Bonowa. Ludwik Frydryk dzw. dóbr, do Brzezan. Malczewski Julian wł. dóbr, do Skwarzawy. Pfeiffer Juliusz były dyrektor teatru, do Krakowa. Tarnawiecki Józef pleban, do Maryampola. Turkuł Onufry wł. dóbr, do Tarnopola. Żarski Kazimierz wł. dóbr, do Kulawy.

Lwów 20. stycznia. — Na dzisiejszym targu płacono korzec Pszenicy ozimej po 19 złr. — kr. do 20 złr. — kr. — Żyta po 14 złr. 45 kr. do 15 złr. 30 kr. Jęczmienia po 11 złr. 30 kr. do 13 złr. Owsa po 7 złr. 45 kr. do 8 złr. 20 kr. Grochu po — złr. — kr. do — złr. — kr. Hreczki po 14 złr. — kr. do — złr. — kr. — Ziemniaków po 9 złr. 45 kr. do 10 złr. Sąg drzewa bukowego 26 złr. — kr. do 28 złr. — kr. Sosnowego po 23 złr. — kr. do — złr. — kr. w. w. Centnar siana 2 złr. 30 kr. do 2 złr. 52 kr. — Centnar słomy 1 złr. 56 kr. do — złr. — kr. w. w.

Kurs lwowski.

Dnia 21. Stycznia.	gotówką				towarem.			
Dukat holenderski	złr.	5	kr.	44	złr.	5	kr.	48.
Dukat cesarski	»	5	»	48	»	5	»	52.
Półimperyał zł. rosyjski	»	10	»	3	»	10	»	8.
Rubel srebrny rosyjski	»	1	»	57	»	1	»	58.
Talar pruski	»	1	»	48	»	1	»	50.
Polski kurant i pięciozłotówka	»	1	»	27	»	1	»	28.
Galicyjskie listy zastawne za 100 złr.	»	90	»	15	»	90	»	35.

Kurs telegraficzny z Wiednia 20. stycznia o 2 g. popołudniu.

Amszterdam. — Augsburg 126. Frankfurt $125\frac{1}{2}$. Hamburg $93\frac{1}{2}$. Liwurno. — Medyolan 123. Genua. — Londyn 12. 14. Marsylia. — Paryż $147\frac{1}{2}$. Bukareszt. — Konstantynopol. — Agio duk. ces. — Srebra agio $25\frac{3}{8}$. Pożyczka 5% $91\frac{1}{8}$. $4\frac{1}{2}$ $80\frac{7}{8}$. Pożyczka lit. B. — Akcye banku 1314. Kolej północna 2255.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**